

Łazarz Kapaon

Godło: Knopf

Rzeka

Miał Jamroz sad. Za obejściem dróżka odchodziła w lewo na południe, wprost do Jamrozowego sadu, i tam się kończyła. Dziwna to była droga, inna niż ta we wsi. Ta każdego zaprowadziła gdzie chciał, do miasta na jarmark, do innych wsi, na wojnę, czy do kościoła; każdy nią gdzieś dojechał. Dla wszystkich i wszystkich była. Jamrozowa jakaś inna się zdawała, jakby przez Jamrozów z dziada pradziada wydeptana po to tylko, żeby sad można było założyć i tylko ich, nikogo więcej. No ale po co innego droga, jak nie dla jakiegoś ludzkiego celu stworzona? Sama się przecież nie ułoży, musi nad nią być stwórca jakiś, jak Bóg nad człowiekiem. Tylko Jamroz chodził do sadu, a jak czasami któregoś z chłopaków zobaczył, to z batem leciał, kląć na czym świat stoi zaczynał i od złodziei, najduchów wyzywać. Może i czasami któryś jabłko z sadu podwędził, ale stary Jamroz i bez tego potrafił sprać, jak mu się któryś wolniejszy pod rękę nawinął.

Oprócz sadu, miał Jamroz też dwóch synów. Bartka i Zbyszka. Bartek z naszym Staśkiem chodził nad rzekę i puszczał statki z kory brzozowej. Młodszy był ode mnie więc nie interesował mnie wcale. Matka czasami tylko poprosiła, żebym poszedł chłopaków nad wodą

pilnował jak łódeczki puszczają. Niezbyt mi się to widziało, bo już wtedy ciekawsze miałem zajęcia, ale przykrości jej robić nie chciałem. Rzeka czyściuteńka, aż w oczy raziła milionem kamyczków i roślinami z dna wychodzącymi, więc nawet miło było posiedzieć. Liczyłem też, że czasami uda się kąpiące dziewczyny podejrzeć. Chodziłem więc z młodym Jamrozem i Staśkiem nad rzekę. Razu pewnego Stasiek się tak nad łódeczką zamyślił, że poszedł za nią aż za zakole, zupełnie znikając mi z oczu. Zostałem więc sam z Bartkiem, co chyba pierwszy raz mi się zdarzyło. Nie wiem co Bartka wtedy na otwartość wzięło, czy we mnie jakie oparcie zobaczył, że starszy jestem i więcej już od niego wiem? Do szkoły chodzę i do wsi samemu czasami, to i z chłopami przy drodze pogadam, i czegoś tam się zawsze dowiem. Spojrzał na mnie tymi swoimi oczami zielonymi, to do tej pory pamiętam. Koloru oczu matki nie pamiętam, ojca nie pamiętam, ale te Bartkowe zielone ślepie tak mi w głowie utkwily, jakby to była pierwsza zieleń, od której każda inna na świecie się wzięła. Na zielone ja się w życiu napatrzyłem, drzewa, łąki, młody jęczmień na polu czasami tak się zieleni, że w oczy aż razi, ale wszystko to bladło w zestawieniu z zielonymi gałami Bartka.

- Wiesz Szymek, w sadzie u nas żyją ogniki.

Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć, tak mnie zaskoczył tym wyznaniem. Pewnie bym mu powiedział, że głupi jest i bzdury wygaduje, ale akurat Stasiek zza krzaków wyskoczył cały zapłakany, że

mu łódkę zniosło z prądem i nie zdążył jej wyłowić. Trzepnąłem go przez łeb, żeby mi więcej tak z oczu nie znikał, bo mnie matka potem spierze, że go samego nad wodą zostawiam. Rozbeczał się tylko głośniej i mi się go żal zrobiło, więc zerwałem trochę świeżej kory, patykiem dziurę wydłubałem i maszt w niej postawiłem, to przestał płakać. Nic się już Bartek o sadzie nie zająknął, a mi się gadać też nie chciało.

Zapytałem potem matkę o te ogniki, bo mi spać nie dawały. Cały czas je w głowie miałem, jakby mi Bartek zasadził jak ziemniaki w polu. Psia jego mać. Tuliła mnie matka wieczorem, żebym już się położył i mi wtedy tak się bezpiecznie zrobiło, że palnąłem o tych ognikach z Jamrozowego sadu. Nic z początku nie odpowiedziała, tylko jakby uścisk jej zelżał na moment.

- Nic się Szymuś nie martw żadnymi ognikami, głupot ci młody Jamroz naopowiadał. Różaniec zmów, to za chwilę zaśniesz.

Nie odzywałem się już, bo i po co matkę jeszcze martwić. Położyłem się jak kazała i oczy zamknąłem, ale różańca zmawiać nie chciałem, ani spać dalej nie mogłem. Leżałem tak i słuchałem jak z ojcem rozprawia, bo ją te ogniki chyba mocno dotknęły. Nie wszystko słyszałem, bo w pierzynie zawinięty ruszać się nie chciałem, żeby nie poznała, że nie śpię. Co tam jednak do uszu dotarło, to sobie ze słów jak z rozrzuconych puzzli obraz układałem. Jamroz dużo pił, co żadną tajemnicą we wsi nie było, bo lubił, jak większość. Żadne to

zdziwienie. Coś tam jeszcze o młodych Jamrozach mówili, ale jakoś ciszej, więc uszu musiałem nadstawiać, żeby cokolwiek wyłapać. Biedne te Jamrozy, na głupków wyrosną, albo i gorzej, bandytów, przez tego Jamroza starego, mówiła matka, ale jej ojciec przerywał i głośniej gadać zaczynał, więc go matka uciszała, że dzieci śpią, jeszcze obudzi. Nic już więcej z tego nie słyszałem, bo się ojciec zaperzył, że go matka ucisza i tylko wziął chleb, kromkę ukrajał i rwał ją zębami jakby od tygodnia nie jadł. Zmógł mnie sen niedługo potem.

Rzadko od tego czasu z Jamrozami się widzieliśmy i w partyzantce dopiero się zdarzyło, że młodego Jamroza znowu spotkałem. Trafiliśmy do jednego oddziału i z początku to nawet go nie poznałem, ale podszedł, rękę wyciągnął i mówi:

- Szymek, dobrze cię widzieć. – Spojrzał na mnie wprost tymi swoimi zielonymi ślepiami, to już wiedziałem, że Bartek.

Wcale bardzo nie wyrósł. A może i wyrósł, ale partyzantka go tak wychudziła i skuliła, jak wielu zresztą, że nawet jak który wysoki i potężny był przed wojną, to po wojnie skulony i chudy jak patyk, że byle wiatr by go połamał. Nie rozmawialiśmy jednak wiele, bo i o czym tu mówić. Dziećmi już nie byliśmy, wojna dookoła, to nawet nie chciało się gęby otworzyć, bo żadne słowa jakoś nie pasowały. Jakby inni ludzie się spotkali, już nie koledzy z podwórka. Tamci zniknęli, skoro większość życia zapomniana, to jak tu mówić, że człowiek ten sam. Już nie ten sam, imię jedynie to samo zostało, choć i to w

partyzantce w pseudonim zmienione. Tylko mi pamięć te ogniki z sadu wypłuła na wierzch, jak ściętą rybę rzeka na powierzchnię. Widać ważne to dla małego Szymka było, że tak w głowie zostało, mimo że inne się sprawy pozacierały i poznikały gdzieś w zapomnieniu. Szliśmy akurat na zwiad, a że zima ostra przyszła, to szliśmy rzeką, bo lodem skuta była mocno. Nie wiem czy to rzeka, czy jakiś inny impuls w Bartkowej głowie zadziałał, ale powiedział do mnie:

- A pamiętasz jak statki z kory puszczaaliśmy?

- Pamiętam jak żeś o ognikach z sadu mówił – palnąłem, bo język zawsze szybszy miałem niż głowę. Stanął w miejscu i spojrzał przed siebie, a widoczność duża była, bo w taki mróz to i na kilka kilometrów w przód widać wyraźnie było. Chwilę poczekał, jakby czegoś wypatrywał w oddali i dopiero się do mnie odwrócił.

- Zbyt to oczywiste, żeby wierzyć, że to już wszystko.

- Co?

- Świat.

Nic mi to nie wyjaśniło, ale się Bartek więcej nie odezwał, tylko odwrócił z powrotem i ruszył przed siebie. To i ja się nie odzywałem, tylko szedłem w krok za nim. Namieszał mi w głowie tym gadaniem. O rzece pomyślałem, żeby myśli gdzie indziej skierować; ile to radości rzeka daje, bo i zwierzętom ulgę w gorąc przynosi, i ludziom tak samo, a dzieciom zabawy co niemiara. Teraz w partyzantce lepszej

ochrony jak rzeka też nie było, bo żeby się Niemcy przez rzekę przeprawili to i pół dnia zleciało, a w tym czasie dało się gdzie dalej ukryć i zmylić pościg. Woda w rzece ciągle inna, bo nurt coraz to nową niesie, ale wciąż tak samo służy i życie przynosi gdzie nie popłynie. Dobrze ją pan Bóg wymyślił. Czasami jak się za dużo człowiek w wodę zagapił to i o życiu pomyślał, że podobnie płynie i nowe przynosi, nie tylko o ziemi i wojnie. Nie żeby ziemia nieważna była, bo ona najważniejsza na wsi, z niej wszystko się bierze i w niej zaczyna, ale bez rzeki to i ziemi by nie było.

Wpakowaliśmy się kilka dni później w obławę. Zanim się zorientowaliśmy, już Niemców wszędzie jak mrówek. Strzelały kule w powietrzu jak komary na bagnach, tak gęsto ich było. Rzuciliśmy się w ucieczkę, tylko jeden Bartek zamarudził, jakby go kto do ziemi przyspawał.

- W nogi, zabijają cię! – krzyknął któryś do niego, ale nie drgnął nawet. Spojrzał jeszcze w moją stronę i go kule podziurawiły, że jak przeźrocze światło przepuszczał. Na co patrzył i o czym myślał, że tak dał się podziurawić? Nie wiem, może tych ogników z sadu wypatrywał lub inne jeszcze dziwota. Albo szukał sam tych kul, bo sił już nie miał. Dzień wcześniej przy ogniu się grzaliśmy i mi tak powiedział:

- Zmęczony Szymuś jestem.

- Wszyscyśmy zmęczeni.

- Ale ja jestem zmęczony widzeniem wszystkiego takim, jakie jest, Szymuś.

- Idźże już spać.

Idźże już spać, to mu ostatnie powiedziałem. Może i bym mu to na tabliczce nagrobnej napisał, gdybyśmy go pochowali. Poszedł już spać. Dobry to napis, nie za długi i do młodego Jamroza pasujący. Bo jak on tak za życia tylko w obłokach bujał i widział, czego nikt inny nie widział, to może niedobrze by było tak jednoznacznie, urodził się, umarł, w Bogu niech spoczywa. Tylko: spać już poszedł. Spać to jakby wstać jeszcze miał i żyć gdzieś w spokoju, widząc wszystko inaczej, niż jest. Może i młody Jamroz żył dalej, bo ciała nie znalazłem, jak się wróciliśmy już po obławie. Niemców trochę było, Polaków też, ale Jamroza nigdzie, jakby się pod ziemię zapadł. Narwałem trochę kory brzozonej, dziurkę bagnetem zrobiłem, patyk wetknąłem, kawałek chustki zawiązałem i na lodzie zostawiłem. Może popłynie, jak lód puści.